

## Droga do Calabozo — labe dz

**Od autora:** Zapraszam na nieprzyjemną wycieczkę po bezdrożach ameryki południowej i dziewiczą wędrówkę po smakowaniu narracji iberoamerykańskiego realizmu magicznego.

---

Pierwszy raz usłyszałem o nim, gdy miałem trzynaście lat i wierzyłem, że każdy może być gwiazdą piłki nożnej, wystarczy dużo i cholernie szybko biegać. Dopiero później połamano mi obie nogi. Dziękowałem więc Bogu, że przynajmniej mogłem jeszcze chodzić.

Przeżegnałem się trzy razy, ucałowałem pozłacany krzyżyk, który wisiał mi u szyi na rzemyku z byczej skóry. Wstałem, podjąłem próbę otrzepania kurzu z kolana, ale nie przyniosło to żadnego widocznego efektu. Sucha od skwaru twarz, z pękającymi ustami, podobna była do otaczającej mnie po horyzont splekanej ziemi. A ja podobny byłem do pyłu, który miałem na sobie dosłownie wszędzie.

Powiedział mi o nim Krótki Juan, jeszcze w sierocińcu, ten niski, zezowaty brzydal, który zmarł nim dożył dwudziestki na chorobę weneryczną. Zakradł się po kryjomu i grzebał w kartotece, żeby wiedzieć, który z nas ma w papierach coś o narkotykach, bo któryś miał na pewno, a grzebał, gdyż bardzo chciał się załapać do jakiegoś wpływowego gangu i z zapalem szukał właściwych kontaktów. Paliliśmy haszysz tam gdzie zawsze, za śmietnikami, gdy wypalił nagle pytaniem, czy wiem, że mam bliźniaka.

Poczułem dreszcz. Słońce było już dość nisko zawieszane nad horyzontem i straszło krwistą czerwienią, długi cień przydrożnej kapliczki kładł się na rozpalonym piachu, dając wytchnienie umęczonemu wężowi. Splunąłem. Zgrzyt żwiru pod butami wyznaczał rażny rytm zbliżania się do motocykla. Mogłem brzmieć jak ktoś zdecydowany na wszystko.

Wtedy, w sierocińcu, nie wziąłem tego na poważnie. Gdy miałem jednak już osiemnaście lat, zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie, stojącego mężnie po prawicy swego ojca. I nagle, jakbym siebie zobaczył. Syn potentata, najzamożniejszego plantatora i przemysłowca w regionie, od którego blask bił prawie tak, jak spływało z niego bogactwo.

Zapiąłem kurtkę, starą, wytartą, wojskową, w stylu piechoty amerykańskiej. Dopalając papierosa sprawdziłem jeszcze raz trasę na mapie, ale ciągnąca się z południa na północ droga numer dwa, do Calabozo, i tak była jedyną możliwością na pustkowiu.

Kurtkę dostałem jeszcze w Argentynie, jako prezent od człowieka, który dał mi dobrą, godną pracę przy swojej niewielkiej, ale uczciwej hodowli koni, a chciał mieć we mnie syna. Poczciwy senior Carlos, Panie świeć nad jego duszą. Nie był człowiekiem na swoje czasy. Być może, na żadne czasy. Razem zdobyliśmy Aconcaguę, a nie byliśmy w stanie uchronić jego posiadłości, malowniczo położonej na południe od Corrientes, przed zupełnie nieprzypadkowym pożarem. Włożyłem pęknięte okulary i odpaliłem motor. Wiatr we włosach przeganiał myśli.

Po pewnym czasie miałem na jego punkcie obsesję. Udało mi się ustalić parę faktów. Kim teraz jest, czym się zajmuje, jakie miewa kobiety i jakimi samochodami się rozbija. Nie wiem kiedy wpadłem na myśl, że jest mi coś winien. Ale szybko zacząłem być tego pewien.

Unikałem moteli, noce spędzałem pod gołym niebem, przy ogniskach. Sprawdziłem colta, zabezpieczyłem. Na ulicach Rio de Janeiro, w rozmaitych favelas, nauczyłem się spać z bronią w ręku, ale zbyt wiele razy oddałem strzał niemal całkiem przez sen. To cud boski, że nigdy się nie postrzeliłem. Niemal taki, jak fakt, że przez te wszystkie lata nikt mnie nie zgwałcił, nie pociął na narządy, ani nawet nie okradł. Choć okraść to akurat nigdy nie bardzo było z czego. A szrama na policzku jest pamiątką po bądź co bądź, ale jednak honorowej walce na tulipany z porozbijanych butelek.

Jego twarz nie miała żadnych wad, rys, zmarszczki czy choćby pryszczka. Ja to wszystko nosiłem chyba za nas obu.

W Chile, na plantacji winogron, gdzie pracowałem jako młodszy zbieracz, później jako kierowca, a dorabiałem jako kurier graniczny kartelu narkotykowego, wiele się nasłuchiwałem o majątku jego ojca. Łączenie z legendami o basenie wypełnionym tequilą, o dwóch dorodnych, wypielęgowanych tygrysach w diamentowych obrozach, o prywatnej armii ochroniarzy i przydomowym burdelu urządzonym w stylu arabskiego haremu. O którym zresztą wiedziała doskonale żona rzeczzonego plantatora, a matka mego brata bliźniaka, lecz z godnością i honorem zdawała się nie zaprzętać sobie tym głowy.

Głowę Fridy Gonzalez, mojej pierwszej i jedynej miłości znalazłem kiedyś w lodówce, w jej mieszkaniu w slumsach La Paz, po trzech tygodniach poszukiwań. Mimo iż nie była pochodzenia indiańskiego, wcisnęli jej na głowę melonik, który często można oglądać na głowach kobiet w Boliwii. Na czole miała

wycięty znak armii Rewolucyjnego Ruchu Nacjonalistycznego, ale nawet policja nie dała się na to nabrać. Gdzie ja wtedy byłem, jak dopadli ją w ciemności oszczanej klatki schodowej?

Przetrząsając kiedyś Internet, znalazłem zdjęcie mojego brata bliźniaka z pielgrzymki do sanktuarium Matki Boskiej z Guadalupe. Wyglądał jak święty, być może tylko ja widziałem w jego oczach, że błagał tam o cudowne wyzdrowienie z białaczki. Na marne. Przedstawiona na płótnie z agawy Matka Boska z Guadalupe była po meksykańsku beznamiętna jak zwykle.

Swoją matkę natomiast odnalazłem w Peru, mieszkającą z ośmioma osobami rodziny, której nigdy nie poznałem. Łzawe lamenty i jęki przeprosin fałszowały mi w uszach długo jeszcze, gdy przekraczałem granicę z Kolumbią, a opowieści o ciężkim i jakże niewdzięcznym życiu surogatki wywołują u mnie mdłości nawet dziś.

Matka miała urodzić dziecko parze bogaczy, którzy z jakiegoś powodu nie mogli mieć potomstwa naturalną metodą. Wywiązała się z obowiązku nader rzetelnie, gdyż powiła bliźniaki. Ale zamówienie było jasne – jedno dziecko. Wybrali to z prawej. Malec z lewej, musiał trafić do sierocińca.

Oto ja. Ernesto Pedro Rodriguez, ten lewy. Może dlatego jestem leworęczny, powiedział mi kiedyś stary, bezzębny wielbiciel Margarity w spelunie o cholernie kłamliwej nazwie „Solo un poco”. Wyszedłem z niej biedniejszy o wszystkie pieniądze i bogatszy o stary motocykl i nóż myśliwski. Oraz o plan na życie, którego osią była przejmująca potrzeba zemsty.

Ta podróż zajęła mi niemal całe życie, zmieniając je przy okazji. Nie jestem już tym człowiekiem, który w nią wyruszał. Gdy dotrę, nie będę tym, kim chciałbym być. Możliwe, że nigdy nie miałem okazji być tym, kim chciałbym. W każdym z tych miejsc, w których się pojawiłem, mówili, że mogłem kiedyś stać się kimś innym, zatrzymać się i zsiąść z motocykla, zacząć wreszcie żyć po swojemu. Myślałem wtedy, że przedstawiali mi życie jak zmięty folder reklamowy. I nie chodziło tylko o to, że nie miałem szczęścia w losowaniu na porodówce. Chodziło o determinację, o to, że chciałem stanąć przed nim, twarzą w twarz, i chciałem, żeby wiedział, że nie jest ode mnie lepszy. Że pora na spłatę długu za szczęście, że pora na wyrównanie krzywd. Na zamianę miejscami.

Dziś już nie wiem, czy czasem ktoś z nich nie miał racji.

Sam już nie jestem tak pewien jak kiedyś, kim będę na końcu tej drogi. Wiem, że będzie tam na mnie czekać nieodwołalna decyzja, być może ktoś zginie, być może to będę ja, i być może sam się zastrzelę. Być może niczego od niego nie dostanę, być może zaśmieje mi się w twarz, być może niczego już od niego nie będę chciał. Uniosłem głowę, splunąłem. Jedno jest pewne. Droga do Calabozo, przecinająca Wenezuelę, to ostatni punkt na mapie do celu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

labeledz, dodano 21.09.2014 08:31

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).